

KARTKI Z HISTORII



Dymitr Janczewiecki

DRAMATYCZNY ROK 1900: WOJSKA OBCYCH MOCARSTW PACYFIKUJĄ CHINY – ZAPISKI ROSYJSKIEGO KORESPONDENTA WOJENNEGO

■ *Od połowy XIX w. w Chinach pogłębiał się kryzys gospodarczy i narastało niezadowolenie społeczne z nieudolnych, skorumpowanych rządów. A sytuację pogarszały jeszcze klęski żywiołowe, przede wszystkim katastrofalna susza w Chinach północnych. Rosnące wpływy mocarstw europejskich i Japonii w Chinach, i domaganie się przez nie wciąż nowych przywilejów w ramach formującego się systemu półkolonialnego, rodziły wśród mieszkańców tego kraju poczucie ucisku i upokorzenia przez cudzoziemców. W Chinach północnych, zwłaszcza w prowincji Shandong, nasiliła się aktywność tajnego stowarzyszenia Yihequan, którego nazwę można by w przybliżeniu przetłumaczyć jako Pięść w Imię Sprawiedliwości i Pokoju (choć tradycyjnie mianem quan – „pięści” określano chińskie sztuki walki, ich adeptów, i stowarzyszenia je praktykujące). Stąd było ono znane w Europie pod lekceważącą nazwą „bokserów”. Swoim charakterem zbliżone było do sekty religijnej. Jego członkowie wierzyli, iż wspierają ich bóstwa chińskie, a oni sami przez praktyki magiczne zyskują nadnaturalne moce.*

W 1898 r. wznicilo ono bunt przeciwko panującej mandzurskiej dynastii Qing (1644–1912), a także przeciwko dominacji cudzoziemskiej. Wkrótce jednak dworowi udało się przeciągnąć na swoją stronę przywódców powstania i przekonać ich, że głównym wrogiem Chińczyków są „biali barbarzyńcy”. W ograniczonej skali udzielano im nawet wsparcia, licząc zapewne, że ten ruch ludowy może osłabić dominację obcych mocarstw. W rezultacie w 1900 r. doszło do gwałtownych wystąpień

bokserów przeciwko cudzoziemcom i wszelkim przejawom ich dominacji w Chinach, czy nawet nowinkom technicznym z Zachodu. Powstańcy niszczyli linie kolejowe i telegraficzne (jako zakłócające pomyślny układ sił naturalnych – fengshui), atakowali konsulaty i ambasady, a przede wszystkim misje chrześcijańskie. Ich ofiarami padali nie tylko sami cudzoziemcy, zwłaszcza misjonarze, których nieraz nawet zabijano, ale także Chińczycy, którzy przyjęli chrzest, co traktowano jako „zdradę narodową”. Powstańcy opanowali stołeczny Pekin, portowy Tianjin i znaczne terytoria północnych Chin, paraliżując normalne życie kraju i działalność kupców europejskich, a ich sukcesy podważały niewątpliwie prestiż i dominację mocarstw zachodnich.

W tej sytuacji w czerwcu 1900 r. doszło do wspólnej interwencji korpusów ekspedycyjnych ośmiu mocarstw (Anglii, Francji, Niemiec, Rosji, Włoch i Austro-Węgier, a także Japonii oraz USA). Walki toczyły się ze zmiennym szczęściem, do jesieni przewagę utrzymywały wojska powstańcze. Stopniowo jednak, zwłaszcza po wsparciu międzynarodowych sił przez regularną armię cesarską, powstanie zostało stłumione. Przegrana powstania zapoczątkowała nową fazę jeszcze większego zniewolenia Chin, a zarazem poszukiwań dróg ich odrodzenia przez samych Chińczyków, w tym nowych prób przyspieszonej modernizacji kraju i fundamentalnych reform politycznych, czy nawet obalenia cesarstwa oraz rewolucyjnych przeobrażeń. Powstanie to można traktować jako ostatnią dramatyczną próbę powstrzymania okcydentalizacji dumnych Chin i odrodzenia ich tradycyjnego systemu. Dotychczasowa strategia dworu: zachowywania tradycyjnego systemu, a zapożyczania z Zachodu tylko niektórych nowinek technicznych, zwłaszcza w sferze zbrojeń i obronności – okazała się zupełnie nieskuteczna.

Autor tych zapisków z frontu walk był rosyjskim dziennikarzem – jak widać z ich treści dobrze znającym nie tylko Chiny, ale i ich język – jak również bystrym obserwatorem.

Redakcja

U stén niedwiznago Kitaja: dziennik korie-spondienta „Nowago Kraja” na teatrie wojen-nych dziejstwij w Kitae w 1900 godu, Dmitrija Janczewieckago. St. Peterburg–Port Artur, 1903. [fragmenty]

Szturm fortów Dagu [broniących rejonu portu Tianjin od morza]

Szybko nadchodził świt [3 czerwca]. Japończycy i Niemcy cofnęli się na 200 kroków i rozsypali w tyralierę, aby ich widać nie było, po czym zatrzymali się. Natomiast Anglicy i Włosi rozciągnęli się na prawo od Rosjan. Niemcy i Austriacy znowu przesunęli się w tył ku Rosjanom i stanęli za nimi w drugiej linii. Japończycy zaś uformowali linię trzecią.

Chińczycy zauważyli podchodzące do fortu desanty i zaraz otworzyli do nich ogień z dział i karabinów. [...]

Porucznik Stankiewicz z podporucznikiem Janczysem, trzema podoficerami i dwoma strzelcami rzucili się do bramy, wyłamali ją kolbami, wbiegli do fortu pełnego Chińczyków i od wewnątrz wspięli się na mur jako pierwsi.

Japończycy, będący z tyłu połączonego oddziału, pędem pobiegli do przodu, prześcignęli cały oddział i w ślad za Rosjanami rzucili się na fort. Cały połączony oddział biegł z okrzykiem „hura!” Wszyscy starali się jako pierwsi przejść przez bramę.

Oszołomieni Chińczycy, gdy nieco podnieśli się na duchu, przywitani Japończyków – swych najdawniejszych, zaciekleń wrogów – okrutnym ogniem karabinowym. Dowódca Japończyków, kapitan Hatori, padł zabity ledwie kilka kroków od bramy. Młody lejt-nant Shiraisi natychmiast zajął miejsce poległego dzielnego towarzysza i wtargnął z innymi Japończykami do wnętrza fortu. Chińczycy rzucili się do ucieczki, zdążyli jednak wycelować w Japończyków jedną armatę. Japoński marynarz, który zaczął wciągać na chiński maszt japońską flagę Wschodzącego Słońca, padł zabity. Podbiegli Anglicy, a że zawsze mieli pod dostatkiem swych flag – rozwinęli swój sztandar nad chińskim fortem jako pierwsi.

Rosjanie, jak zwykle, nie mieli w potrzebie niczego, oprócz dzielności. I dlatego Stankiewicz do masztu przybił tylko naramiennik podoficera swojej kompanii.

[...]

Zająwszy Fort Północnozachodni, sojuszniczy desant rzucił się do ataku na Fort Północny, ku któremu uciekali w nieładzie Chińczycy. Fort został szybko zajęty przez sojuszników. Znowu załopotana angielska flaga. Jeden austriacki artylerzysta tak umiejętnie obrócił chińskie działo na Fort Południowy, że już po pierwszym wystrzale rozległ się w forcie ogłuszający wybuch i skład prochu wyleciał w powietrze. Ocaleli od wybuchu Chińczycy rzucili się do ucieczki, ale trafili na kule karabinów maszynowych Maksima, postukujących nieustannie z bocianich gniazd [okrętu] „Giliak”.

[...]

Komendant Luo ostatkiem sił bronił powierzonej mu twierdzy. We wszystkich zdobytych fortach znajdowano przy działach trupy dzielnych obrońców z urwanymi rękami, nogami i głowami. Wzdłuż wału wszędzie leżeli chińscy strzelcy i artylerzyści. Wszędzie betonowe mury fortów były podziurawione, zniszczone i wysadzone europejskimi pociskami, wszędzie widać też było krwawe ślady okrutnej kanonady z europejskich jednostek pływających.

Widząc swą bezsilność i nie chcąc żywym opuścić powierzonej mu twierdzy, która padła, generał Luo, jak przystało chińskiemu dowódcy, „przyjął złoto” [czyli truciznę – red.] i zmarł w męczarniach. (s. 181–185)

Oddział generała Stessela

[...] Tegoż dnia [7 czerwca] generał Stessel wysłał do Tianjinu zjednoczony oddział pod dowództwem pułkownika Sawickiego. [...] Około połowę drogi oddział przejechał koleją. Dalej tory były zniszczone i sojusznicy ruszyli wzdłuż nasypu w szyku marszowym, ale na kilka wiorst od miasta wpadli w zasadzkę. Nagle otoczyli ich z trzech stron Chińczycy, zaczajeni w zaroślach, i zaczęli ostrzeliwać silnym ogniem. Wschodni arsenał z pod Tianjinu także skierował na nich swe działa. Sojusznicy zmuszeni byli cofnąć się. Amerykanie porzucili jedno działo i 2 zabitych żołnierzy. Chińczycy natychmiast dopadli ich ciał i zmasakrowali je. Po stronie rosyjskiej poległ jeden strzelec, a 6 żołnierzy zostało rannych.

Starcie sojuszników z Chińczykami zauważyli Anglicy z wieży ratuszowej w Tianjinie. Natychmiast poinformowali o tym Anisimowa, który wysłał na zwiad kozaków. Jak już wiadomo, kozacy nie zdołali przebić się do Sawickiego i wrócili do Tianjinu z rannymi i zabitymi.

Dnia 9 czerwca generał Stessel postanowił ruszyć sam na czele oddziału, aby uwolnić Anisimowa i Tianjin. Do Rosjan dołączyli Anglicy, Niemcy, Amerykanie, Japończycy i Włosi, w liczbie 900 ludzi.

[...]

Jednak wojska chińskie, które uciekły z Dagu i te, przybyłe z Beitang, Lutai i Tianjinu postanowiły stawić najbardziej zdecydowany opór, aby nie dopuścić do połączenia sojuszników z międzynarodowym oddziałem oblężonym w Tianjinie. Kule i pociski spotykały sojuszników po drodze z każdej chińskiej wioski, które musieli zdobywać ciężką walką. Wszystkie wsie po drodze z Dongku do Tianjinu sojusznicy spalili i zniszczyli. Cały lewy brzeg Beihe, na którym dotąd było wiele wsi, pól i ogrodów, został obrócony w perzynę.

[...]

Dnia 10 czerwca o 3 po południu oddział generała Stessela połączył się z oddziałem pułkownika Anisimowa. Europejczycy, oblężeni w Tianjinie, zostali w ten sposób uwolnieni i mogli wreszcie opuścić koncesje [europejskie strefy eksterytorialne – red.].

[...]

Dnia 11 czerwca do Tianjinu dostarczono list od admirała Seymoura, zawiadamiający, że jest obleżony przez Chińczyków w arsenale Xiku, 3 wiorsty od miasta. List przyniósł Chińczyk–chrześcijanin. W tym samym dniu na ratunek Seymoura i jego ekspedycji gen. Stessel wyprawił połączony oddział pod dowództwem płk. Szyrńskiego. Składał się z 880 Rosjan [...], 800 Anglików, 120 Amerykanów, 100 Niemców, 50 Francuzów i 50 Japończyków.

Oddział wyruszył nocą. Prowadził go Chińczyk, który dostarczył list od Seymoura. Wojska chińskie, po niedawnych niepowodzeniach, nie chciały nawiązywać walki i pozwoliły bez przeszkód na połączenie się oddziałów, które spotkały się nazajutrz o 9. rano przy akompaniamencie burzliwych i radosnych okrzyków „hura”.

Dnia 12 czerwca cały dzień przewożono rannych na drugi brzeg Beihe, niszczone działa, karabiny i broń palną oraz wszelkie zapasy znajdujące się w arsenale Xiku.

Dnia 13 czerwca o 3. w nocy połączony oddział Seymoura i Szyrńskiego powrócił pomyślnie do Tianjinu. Rosyjskie wojsko ustawiło się przed swoim obozem i okrzykami „hura” powitało dzielną ekspedycję i smutny pochód 238 noszy z rannymi. (s. 188–191).

Ekspedycja adm. Seymoura

Znowu rany i męczarnie... Znow szeregi noszy z wymęczonymi rannymi, których w palącym słońcu, w kłębach kurzu przyniesiono lub przywieziono na dwukółkach do Tianjinu.

To wracał dzielny oddział admirała Seymoura, który zdołał przebić się prawie do połowy drogi między Tianjinem i Pekinem, ale był zmuszony zawrócić pod naporem niezliczonych hord bokserów i chińskich wojsk regularnych. Oddział Seymoura, złożony z 230 ludzi połączonych sił międzynarodowych, zamierzał wykorzystać linię kolejową i odbyć „wojskową przechadzkę” do Pekinu. Nikt nie przywiązywał wagi do sił bokserów, a w możliwość starcia z [chińskimi] wojskami regularnymi – nie wierzono.

W sobotę, 27 maja, pierwsza partia Rosjan wyruszyła, by dołączyć do oddziału Seymoura – kompania 100 ludzi z krążownika 1. rangi „Rossija” pod dowództwem lejtnanta Zabotkina.

Dnia 29 maja wyruszył drugi oddział 212 ludzi – marynarzy z jednostek „Nawarin”, „Admirał Kornilow”, „Pietropawłowski” i „Dymitr Doński”, wyposażony w dwa działa z „Rossii”. [...]

Naszym marynarzom przyszło jednak przetrwać dwa tygodnie w nadzwyczaj ciężkich warunkach marszu bojowego, przeżywając godziny grozy, dni i noce pod gradem kul i granatów, nurzając się w kurzu i błocie, pozostając nieraz całymi dniami bez wody i gorącej strawy. Niekiedy dla rannych jedynym łóżem był rów lub kanał, a kocem – tułacz kurzu.

Rosyjski desant morski, który wyszedł z Tianjinu 29 maja, dogonił oddział Seymoura na stacji Luofa. Aby utrzymać łączność z miastem i chronić tory od zniszczenia pozo-

stawiono na tej stacji garnizon angielski w liczbie 30 ludzi. Jako, że stację wcześniej spalili bokserzy Anglicy umocnili szopę stacyjną i umieścili na niej groźny napis „Fort Endymion”, od nazwy angielskiego okrętu.

Naprawiając tor i powoli posuwając się dalej oddział doszedł do stacji Lanfan. Tu Niemcy ustanowili „Fort Gefion”, również do nazwy swego okrętu.

Dnia 1 czerwca oddział znajdował się o 3,5 mili od Lanfan. Tor kolejowy był dalej całkowicie zniszczony. Nie było śladu szyn i podkładów, które rozwleczono, spalono lub rozrzucono. Jak okiem sięgnąć, nasyp linii kolejowej przypominał drogę gruntową.

Tego dnia zdarzył się smutny incydent z Włochami. Podczas naprawy torów pociąg ochraniały 4 włoskie pikiety wystawione w polu. Bokserzy cały czas nękali pociąg, ale trzymali się w przyzwoitej odległości. Gdy jednak pociąg wycofał się, to w wyniku niewybaczalnego zaniedbania kierujących pociągiem Anglików zapomniano o owych włoskich pikietach. Rzesza bokserów rzuciła się szybko na nich i w kilka chwil, na oczach wszystkich, zarżnięto jednego oficera i czterech włoskich marynarzy, nim ktokolwiek ruszył im na ratunek. Ich ciała zostały zmasakrowane przez bokserów. Ten sukces wzmógł bezczelność Chińczyków. [...]

Dnia 1 czerwca nagle nadjechała z Luofa dreżyna z Anglikami, którzy donieśli swemu admirałowi, że „fort Endymion” okrążyło około 2.000 bokserów i garnizon, posiadający tylko 2 karabiny maszynowe, nie może dać sobie rady z nieprzyjacielem i prosi o posiłki. Admirał Seymour był bardzo niezadowolony z tej tchórzliwości garnizonu, ale wyruszył z oddziałem swoich wojsk, z Rosjanami i Francuzami. Nastąpiło starcie z Chińczykami, którzy bardzo szybko poszli w rozsypkę. Rany odnieśli tylko dwaj Anglicy.

[...]

Dzień 4 czerwca. Tego dnia od strony Pekinu po raz pierwszy pokazały się chińskie wojska regularne, ze sztandarami i oznakami. Ostatni raz napotkano wojska chińskie koło stacji Yangcun. Były to wojska gen. Nie Shichena. Teraz, najprawdopodobniej koło stacji Lanfan, pokazały się przednie straże wojsk chińskich pod dowództwem gen. Dong Fuxianga, słynącego z okrucieństwa i nienawiści do Europejczyków. Jego wojsko składało się w większej części z Chińczyków-muzułmanów, nastawionych nader fanatycznie i wrogo wobec cudzoziemców. Rosjanie i Niemcy wysłali zwiad, ale nie można było ustalić liczebności [nadchodzących] wojsk. Zbliżywszy się na odległość strzału do wysłanych na zwiad oddziałów europejskich, kawaleria chińska zaczęła do nich strzelać. Wystarczyło jednak kilka salw ze strony Rosjan i Niemców, aby chińska kawaleria zawróciła i uciekła.

Spotkanie z oddziałem chińskim, który od razu podjął działania wojenne, nie zapowiadało nic dobrego. Najwyraźniej Chińczycy postanowili zatrzymać desant europejski i stawić zdecydowany opór.

Desant podjął działania, aby wzmocnić posterunki, co zresztą doprowadziło do smutnego wypadku. Nocą, w ciemności, wartownik rosyjski zauważył podejrzany obiekt. Na okrzyk wartownika podejrzany, czarny obiekt nic nie odpowiedział i zaczął jeszcze bardziej zbliżać się do pociągu. Przypuszczając, że to chiński bokser, za którym mogliby kryć się inni, wartownik podniósł alarm. Z wagonów wyskoczyli Rosjanie i Niemcy, i w ciemnościach zaczęli strzelać na oślep. Z okien zaczęli strzelać Anglicy. W resulta-

cie kilku Rosjan i Niemców zostało zranionych przez Anglików, a podejrzany „czarny obiekt” okazał się po prostu chińskim psem. Żadnych bokserów nie było.

Gdy sojusznicy oddział przybył do Lanfan, zjawił się tam Chińczyk-chrześcijanin, wysłany przez posłów zagranicznych z Pekinu. Przywiózł on groźne wieści. Ludność Pekinu i wojska cesarskie na czele z gen. Dong Fuxiangiem prowadzą wrogie przygotowania w celu niedopuszczenia do stolicy obcych wojsk. Funkcjonariusz ambasady japońskiej Sugiyama został przez żołnierzy Dong Fuxianga bestialsko zabity, za to jedynie, że wbrew ich zakazowi wyjechał za bramy miasta. Na misję napadł tłum i przebywający w niej ledwie uratowali się przy pomocy rewolwerów. Chociaż rząd chiński zgodził się wpuścić w obręb murów Pekinu 1500 cudzoziemskich żołnierzy, to w rzeczywistości występuje przeciwko nim. Wśród Chińczyków chodzą słuchy, jakoby stara cesarzowa wydała rozkazy bokserom, aby burzyli poselstwa i likwidowali wszystkich cudzoziemców. Szkoły misjonarskie, trybuna wyścigów konnych, niektóre budynki cudzoziemców już rozgrabiono i spalono, a służących cudzoziemcom i ochrzczonych Chińczyków zamęczono w sposób okrutny i zabito. Dzień 3 czerwca został wyznaczony jako data powszechnego zniszczenia wszystkich poselstw.

Wobec takich dramatycznych wieści o położeniu cudzoziemców w Pekinie admirał Seymour postanowił podjąć nadludzkie wysiłki, aby przywrócić komunikację kolejową z oblężoną chińską stolicą. Nie wiedział jednak, że na tyłach jego oddziału dzieją się wydarzenia nie mniej niebezpieczne. Tianjin już otoczyło 20000 bokserów i regularne wojska cesarskie, przez co droga odwrotu i dołączenia do międzynarodowego korpusu została dla Seymoura i jego dzielnego oddziału odcięta. Ale zamiast pomyśleć o konieczności powrotu oddział Seymoura zdecydowanie lecz nierozsądnie parł naprzód wzdłuż linii kolejowej, którą – przed oddziałem i za nim – bokserzy niszczyli i palili.

[...]

Brzegi rzeki Beihe, bardzo wąskiej i krętej, usiane były wioskami, w których kryli się buntownicy. Spokojni mieszkańcy pouciekali. Cześć desantu płynęła barkami; druga część szła wzdłuż rzeki i brała bojem każdą wieś, wypędzając bokserów i zabierając porzuconą żywność – ryż i bydło.

Dnia 8 czerwca nadal posuwali się powoli w dół rzeki, opędzając się od bokserów, których tłumy towarzyszyły desantowi bez strachu przed europejskimi karabinami i działami. Europejczycy starali się nie strzelać, oszczędzając naboje i pociski. W upalnym duszącym słońcu iść było bardzo trudno. Konserwy szybko się skończyły i trzeba było żywić tym, co Bóg dał: porzuconym ryżem, chińskimi białymi świniami, cielętami i innym bydłem, jakie udało im się schwytać. I nie było oczywiście możliwe, aby z tych produktów zrobić dobrą pieczeń. Bydło bili i piekli jak popadło, a potem dzielili pomiędzy wszystkich. Nie można było nawet znaleźć czystej wody, bo cesarska rzeka Beihe, nie bacząc na swą chlubną przeszłość i starożytne pochodzenie, pełna była nie tyle wody, co wszystkiego czym ją obdarzył Pekin oraz wszystkie miasta i wsie po drodze.

Dzień 9 czerwca był bardzo trudny. Żywność się kończyła. Na zjedzenie były już skazane i konie, i muły, a Niemcy już dawno żywili się koniną. Na brzegach zaczęli pokazywać się już nie tylko bokserzy, ale i chińska piechota, kawaleria i artyleria, która rozpoczęła ostrzał barek. Dla obrony barek i rannych Rosjanie, Niemcy i Włosi zaczęli iść

po obu brzegach. Musieli cały czas odpowiadać ogniem. W czasie jednej wymiany strzałów został ranny miczman [najniższy stopień oficerski w marynarce rosyjskiej – tłum.] Zabolotkin.

Wieczorem podeszli do dużej wsi Sichu, gdzie mieli zatrzymać się na nocleg. Okazało się jednak, że wieś została już zajęta przez wojsko chińskie. Obie strony zaczęły strzelać. Sprawa przybrała tak poważny obrót, że europejski desant, aby nie dać się wystrzelać, musiał iść dalej i, pod osłoną ciemności, o drugiej w nocy popłynąć z prądem.

Dnia 10 czerwca rankiem desant, na który naciskało chińskie wojsko i bokserzy, podeszedł na tyle blisko Tianjinu, że znalazł się pod ogniem chińskich fortów. Dalej płynąć rzeką nie było można. Porzucono barki. Rannych wzięto na nosze i desant, pod osłoną pobliskich zarośli i wzgórz, ruszył ku Tianjinowi. Ruch europejskich wojsk zauważyli Chińczycy z Północnego arsenału Xiku w okolicy Tianjinu. Chińskie wojska, które poprzednio naciskały na desant i te, które cofnęły się do miasta otworzyły silny ogień do przybliżającego się desantu. Jego położenie stało się wówczas krytyczne. Wtedy admirał Seymour zdecydował się na bardzo śmiały krok: rozkazał swojej piechocie morskiej wziąć szturmem najbliższy chiński arsenał – Xiku. Anglicy z honorem wykonali swe zadanie: o 3. po południu arsenał został zdobyty. Zajmujący to umocnienie Chińczycy zostali częściowo wybici, a częściowo uciekli. [...]

Dnia 11 czerwca. Odpoczynek za potężnymi murami chińskiej twierdzy nie trwał długo. Nocą admirał Seymour wysłał liczący 100 Anglików oddział zwiadowczy, aby dotarł okrężną drogą do Tianjinu i przekazał europejskiemu garnizonowi informację o powrocie desantu. Oddział zwiadowców natknął się na gęste tłumy buntowników. Doszło do starcia, w którym kilku Anglików odniosło rany. Oddział zaczął się cofać. Lecz zanim zebrano rannych powstańcy dopadli ich i odrąbali im głowy, w tym oficerowi – dzielnemu kapitanowi Batesowi. O 4. rano ogromne siły chińskich wojsk i buntowników, w liczbie 7.000 ludzi, rzuciły się do rozpaczliwego ataku, by odbić swą byłą twierdzę. Zostały jednak odparte. (s. 192–203).

Przerwa

Po zdobyciu przez siły sojusznicze Wschodniego Arsenału, w działaniach wojennych wokół Tianjinu nastąpiła przerwa.

Chińczycy nadal ostrzeliwali nasz obóz, dworzec kolejowy i koncesje. Sojusznicy odpowiadali na to wypadami, zwiadami i napadami, ale były to działania doraźne, bez wspólnego planu operacyjnego. Codziennie do miasta przybywały oddziały międzynarodowe oraz nowe zapasy broni i żywności.

Wszystkie nasze wojska obozowały za miastem, część rozmieszczona była na strażach, a część ochraniała Wschodni Arsenał. Jak niebezpieczna była łączność między naszymi poszczególnymi oddziałami ilustruje przypadek doktora Wiolina z 9. Pułku, który 19 czerwca z felcerem i dwoma strzelcami szedł z obozu do miasta. Z chińskich

domków położonych przy drodze padło kilka strzałów. Jedna z kul przeszła nogę doktora na wylot.

[...]

Dnia 21 czerwca z francusko-rosyjskiego szpitala został pod nadzorem lekarzy odprawiony pierwszy transport rannych żołnierzy. Powieziono ich barkami po rzece Beihe do Dongku, skąd rannych Rosjan parowcami przewieziono do Port Arthur.

Ileż radości było w tych żołnierzach, których nareszcie wywożono z Tianjinu daleko od kul, granatów, stołów operacyjnych i cierpień – i jakże zazdrościli im pozostający!

Dla ubezpieczenia zachodniej strony koncesji nasi sojusznicy ustawili na wale miejskim działa – 6 angielskich funtowych, 6 francuskich połowych z pociskami menilitowymi i 6 japońskich.

Między rosyjskimi i sojuszniczymi a chińskimi bateriami codziennie odbywały się pojedynki artyleryjskie. Codziennie do sojuszniczych szpitali przynoszono rannych.

[...]

Dnia 23 czerwca doszło do słynnej historii dzielnego miczmana Głazenapa, 6 marynarzy i 17 piekarzy. Tego dnia na skrajnym posterunku osłaniającym koncesję francuską od strony chińskiego miasta znajdowało się jedno morskie działo, a przy nim 6 naszych marynarzy i około 30 Francuzów. Pod osłoną barykady z bel bawełny Francuzi i Rosjanie śledzili przeciwny brzeg Beihe, gdzie Chińczycy, chowając się za przyzmiami soli, wypatrywali naszych wartowników i coraz to do nich strzelali. Ponadto posterunek obserwował na wprost spalone i zburzone miasto, rozciągające się daleko na obu brzegach rzeki. Rosyjscy marynarze i francuscy żołnierze, jak prawdziwi sojusznicy, przyjaźnie rozmawiali, oglądali swoją broń, częstując się wzajemnie chlebem, sucharami i wodą. W czasie rozmowy nagle jeden Francuz upadł trafiony strzałem. W mieście pojawiły się gęste szeregi żołnierzy chińskich, konnych i pieszych, które śmiało szły brzegiem, zamierzając zapewne wtargnąć do koncesji francuskiej. Wszyscy Francuzi rzucili się do swoich koszar, aby dać znać o niebezpieczeństwie. Przy naszym dziale pozostał tylko ogniomistrz Zubariow i 6 marynarzy.

Nasi marynarze nie stchórzyli. Zaraz wycelowali działo w Chińczyków i ostrzelali ich szrapnelami. Chińczycy nie wstrzymali marszu, odpowiadając ogniem karabinowym. Dowódca posterunku, miczman Głazenap, znajdujący się w sąsiednim domu, słysząc wystrzały i dowiedziawszy się o co chodzi rozkazał wystawić przeciwko Chińczykom jeszcze jedno morskie działo desantowe i posłać po pułkowych piekarzy, którzy piekli chleb dla oddziału rosyjskiego. Dowodzący piekarzami porucznik polecił natychmiast zawiadomić nasz obóz, że piekarnia i cały Tianjin znalazły się w największym niebezpieczeństwie.

17 piekarzy porzuciwszy ciasto i mąkę chwyciło karabiny i pobiegło na posterunek. Tu już bohatersko działał Głazenap. Jedno działo wycelował wzdłuż rzeki, a drugie na ulicę. Z dział wylatywały granat za granatem. Na brzeg wyjechało jedno chińskie działo, ale zanim zdążyło wystrzelić Głazenap powitał chińską załogę takim szrapnelem, że działo szybko wycofało się. Przybiegło 10 Japończyków i razem z naszymi piekarzami zaczęli strzelać z karabinów. Chińczycy rzucili się do przodu, ale napotkali tak zgrany i celny ogień Rosjan, Japończyków i Francuzów, których wsparł jeszcze amerykański kulomiot, że rozmyślili się, zawrócili i odeszli w chińskie miasto. Wkrótce z obozu przyszła po-

moc – jedna kompania 12. pułku, ale Chińczycy już się wycofali. Rannych u nas zostało 3 marynarzy i jeden piekarz.

Chińczycy jednak na tym nie poprzestali. Pewien chiński oficer zdumiał swą szaleńczą odwagą. Wierchem na koniu, z kilkoma żołnierzami, niepostrzeżenie przekradł się między pryzmami soli i napadł na strzelców rosyjskich trzymających wartę przy moście. Marynarze nasi, dostrzegłszy Chińczyków, natychmiast rzucili się na pomoc towarzyszom. Chiński oficer w paradnej kurtce i czapce z pawim piórem oraz wszyscy jego wierni żołnierze zginęli od kul. Może ten odważny oficer chciał podpalić most łączący dworzec z koncesjami, może zniszczyć posterunek albo też poznać liczbę i pozycje naszych posterunków – nie wiadomo (s. 231–234).

Przyjazd admirała Aleksiejewa

[...] Admirał Aleksiejew nawiązał bardzo przyjazne stosunki z dowódcami japońskimi, którzy w ramach bliskiej współpracy z Rosjanami niejednokrotnie zjawiali się u rosyjskiego admirała na narady wojenne. Bardzo znamienne jest to, że wkrótce po przyjeździe admirała Aleksiejewa angielski admirał Seymour uznał za stosowne powrócić do swych wojsk i ogólne kierownictwo działaniami wojennymi sojuszników w sposób naturalny i ostateczny przejął admirał rosyjski.

Przed przybyciem Aleksiejewa [24 czerwca], Tianjin od 3 tygodni, z kilkudniowymi przerwami, bombardowany był przez Chińczyków. Wszystkie oddziały europejskie ponosiły duże straty – najbardziej ucierpiały wojska rosyjskie. Około 200 rannych Rosjan leżało w francusko-rosyjskim szpitalu. Tymczasem, według zdobytych informacji, wojsk chińskich przybywało. Z Shanhaiguan przybył oddział wojsk chińskich generała Sun Qinga liczący, jak mówiono, około 5000 ludzi. Z wojskami gen. Nie dawało to 10000.

Tymczasem oddziały europejskie nie miały ani wspólnego kierownictwa, ani wspólnego planu działań. Wszyscy dowódcy byli zgodni, że trzeba jak najprędzej wyzwolić Tianjin i iść na odsiecz poselstwom w Pekinie. Ale jak to zrobić, co przedsięwziąć najpierw, jak atakować chińskie forty i polowe baterie, i jak przepędzić wojska chińskie i bokserów? Te kwestie zawisły w rozpalonym powietrzu Tianjinu bez odpowiedzi.

Wszyscy cudzoziemcy, jednogłośnie, chcieli jak najprędzej zjednoczyć wojska europejskie i japońskie do wspólnych działań pod jednym dowództwem, obawiając się, że utrzymujące się różnice zdań smutno się skończą. Poszczególne europejskie oddziały wojskowe stawały do boju z honorem, by wykazać odwagę, nie skompromitować się wobec reszty cudzoziemców i pokazać swą dzielność. Polem, na którym próbowano sojusznicznych sił, była głównie równina przed dworcem, cały czas pod silnym ogniem kul i granatów.

Jak niedogodny był brak jednolitego kierownictwa pokazuje następujący przypadek. Od czasu przybycia oddziałów europejskich do Tianjinu ich dowódcy początkowo działali wspólnie z konsulami. Angielski konsul, mieszając się do wszystkich działań wojskowych, sprzeciwił się bombardowaniu przez Europejczyków dzielnicy chińskiej,

skąd Chińczycy uporeczywie i celnie ostrzeliwali koncesje europejskie. Trwało to od 4 do 9 czerwca. Chińczycy bombardowali nas, a my strzelaliśmy tylko do chińskich baterii polowych. Powód tego dziwnego protestu konsula angielskiego był bardzo prosty: jeśli Europejczycy będą bombardować całe chińskie miasto, to Chińczycy uciekną i handlowcy angielscy stracą wszystkich swych dłużników, partnerów i klientów, i poniosą ogromne straty. Ten ważny wzgląd skłaniał, oczywiście, do tego by możliwie humanitarnie odnosić się i do handlowców angielskich, i ich klientów – Chińczyków. Wreszcie 9 czerwca, na wniosek dowódcy oddziału francuskiego, postanowiono że wszelkie dalsze działania wojenne będą podejmowane i przeprowadzane bez udziału konsulów europejskich.

Gdy minął okres ostrego oblężenia Anglicy znów zaczęli okazywali nieufność wobec Rosjan, nie chcąc w niczym z nami współdziałać. Dwa razy, gdy dowódca oddziału rosyjskiego Stessel zapraszał Anglików, by wzięli udział we wspólnym ataku na baterie chińskie, Anglicy i namówieni przez nich Amerykanie odmówili pod różnymi pretekstami. Sprawa się przeciągała i nasze wojska, i koncesje nadal cierpiały od nieprzyjacielskiego ognia.

Dlatego też przybycie do Tianjinu admirała Aleksiejewa zostało przyjęte z prawdziwym zadowoleniem nie tylko przez Rosjan, ale wszystkich Europejczyków. Wszyscy byli przekonani, że odtąd oddziały sojusznicze zgodnie wezmą się do dzieła i pod dowództwem jednej osoby szybciej i pomyślniej osiągną cel – wyzwolenie miasta. Wszyscy oczekiwali, że odtąd wzajemna nieufność i różne nieporozumienia zostaną usunięte, i dowódcy cudzoziemskich oddziałów zrozumieją wreszcie, że bez systemu i jedynomyślności sojusznicy niczego nie osiągną.

[...]

Z przybyciem admirała Aleksiejewa, zgodnie ze starszeństwem i szczególnym autorytetem jakim się cieszył, na niego przeszło ogólne kierownictwo wojskami sojuszniczymi, których w owym czasie było w Tianjinie około 18000. Rosjanom przypadł tym samym zaszczyt stanięcia na czele sojuszniczej sprawy ośmiu mocarstw, która już zaczynała się rozpadać.

Po jego osobistej rozmowie z dowódcami głównych oddziałów, dalsze rozmowy, według wskazówek admirała, prowadził z różnymi sojuszniczymi dowódcami wojskowymi ustanowiony przy nim urzędnik dyplomatyczny I. J. Korostowiec. Spotykał się on z dowódcami międzynarodowych oddziałów oraz innymi osobami, z którymi rozmowa mogła przyczynić się do powodzenia wspólnej sprawy.

Wielką korzyść wspólnym działaniom sojuszników przyniósł umiętny udział naszego wojskowego agenta [tj. attache – tłum.], płk. Wogaka. Jego znajomość miejscowych warunków i popularność wśród cudzoziemców niezwykle ułatwiły mu rolę pośrednika w kontaktach Rosjan z sojusznikami.

I zaraz okazało się, że Francuzi i Niemcy, nasi solidarni sojusznicy, pragną działać wspólnie z nami we wszystkich działaniach wojennych. Anglicy, a także nastawieni przez nich Amerykanie i Japończycy, odnosili się do Rosjan z nieufnością. Obawiając się głównej roli Rosjan, nie włączali się do podejmowanych przez nas działań wojennych.

Stanęliśmy wobec trudnego zadania dyplomatycznego: rozproszyć nieufność do Rosjan, udowodnić że rosyjski admirał nie zabiega o główną rolę i dowodzenie wojskami

sojuszniczymi, lecz – w interesie samych sojuszników – pragnie pogodzić i uzgodnić działania poszczególnych oddziałów. Bez tego będzie się tracić wspólne siły i czas, oblężenie Tianjinu nigdy nie zostanie przełamane, a bez tego z kolei nie będzie można ruszyć na Pekin.

Japończycy (gen. Fukushima, płk Aoki) w pełni zgadzali się, że sojusznicy powinni działać wspólnie i według wspólnego wypracowanego planu. Ale kłopotliwą była dla nich kwestia dowodzenia. Poseł Kato również uważał, że zachowanie zgody między sojusznikami to niezbędny warunek powodzenia działań, ale jeśli chodzi o marsz na Pekin to uważał, że w armia liczyć powinna co najmniej 25000 ludzi. W sumie skłaniał się ku propozycji rosyjskiej. Kato miał zastąpić japońskiego posła w Pekinie, którego uważano za poległego.

Rozsądni Japończycy wkrótce zgodzili się z argumentami Rosjan; nalegali tylko na konieczność zachowania samodzielnego dowództwa w poszczególnych oddziałach międzynarodowych, a do tego przecież Rosjanie nie mieli zastrzeżeń.

Trzeba było niemało wysiłków, aby przekonać nieufnych Anglików, że na skierowaniu działań wszystkich sojuszniczych oddziałów ku wspólnemu celowi, z inicjatywy rosyjskiego admirała, prestiż innych sojuszniczych dowódców nie ucierpi. Zachowają oni pełną niezależność dowodzenia w granicach powierzonego im rejonu. Zaś interesy wszystkich sojuszników (a zwłaszcza handlowe interesy właśnie Anglików i Amerykanów) pilnie wymagają, aby niezwłocznie przypuścić zdecydowany atak na wojska chińskie, które już zaczynają otrzymywać posiłki z północy. Ponadto zbliżała się pora deszczowa, co również mogło opóźnić, a nawet zatrzymać, działania wojenne. A niezdecydowanie sojuszników było jedynie zachętą dla chińskich żołnierzy i bokserów, których powstanie rozgorzało już w całych Północnych Chinach i mogło przenieść się na Południe. Jednak Anglicy nie wierzyli rosyjskim zapewnieniom.

Rozsądek, takt i autorytet rosyjskiego admirała, w powiązaniu z atencją stale okazywaną przezeń wszystkim sojusznikom, niewątpliwie sprzyjały powodzeniu rokowań.

Sprawie pomogli także Japończycy. Powodzenie rozmów między Rosjanami i Japończykami przełamało nieustępliwość Anglików, którzy wreszcie zgodzili się wziąć udział w międzynarodowym ataku na wojska chińskie, wyznaczonym na noc z 27 na 28 czerwca (s. 237–242).

Rozgromienie

Po trzech tygodniach pod troskliwym dachem francusko-rosyjskiego szpitala, gdzie znalazłem się po nieoczekiwanym zetknięciu z chińskim, a ściślej z niemieckim, szrapnelem – i tak szczęśliwie się z tego wywinąłem – całkowicie wyzdrowiałem. Z błogosławieństwami i dobrymi życzeniami zakonnic, bardzo ubolewających, że nie zdążyły skierować mnie na łono swej zbawiennej wiary, przenieśliem się do hotelu „Astor House”.

Nie poznałem pięknego i eleganckiego Tianjinu. Ani jeden budynek, ani jedna europejska willa nie została oszczędzona przez artylerię czy ogień. Ściany, dachy, okna, ogrodzenia – wszystko było podziurawione lub posiekane odłamkami pocisków, które najwyraźniej fruwały chmurami we wszystkie strony. Bogate wille handlowców porzucano na pastwę losu. W jednych domach były zniszczone pokoje. Po innych – zostały tylko ruiny. Dzielnica bezpośrednio przylegająca do naszego szpitala, zamieszkała przez Chińczyków, została spalona do cna na rozkaz konsula Francji, który obawiał się od tej strony podłożenia ognia lub napadu przez bokserów.

Dzielnica ta przedstawiała smutny widok całkowitej ruiny. Na odległość dwóch wiorst widać było tylko opalone mury, samotne kominy, kupy kamieni, gruzu i węgla. Domy Chińczyków, które ocalały od ognia, były ograbione. Na podwórkach wałały się stosy odzieży – prostej i drogiej jedwabnej, wszelkie meble, naczynia, starocie, ale i bogate chińskie hafty, stare porcelanowe wazony, wspaniałe inkrustowane obrazy, zegary, aparaty telefoniczne, fonografy... Ratując się przed pożarami, ogniem artylerii i zemstą Europejczyków tysiące chińskich rodzin porzuciło swe domy i uciekło. Tysiące rodzin straciło wszystko i rozproszyło się po świecie. Troszczyło się tylko o uratowanie życia swych bliskich i jeśli możliwe – pieniędzy. W koncesjach pozostali tylko Chińczycy chrześcijanie.

Opowiadano o jednym pobożnym Chińczyku, tak biednym, że nie miał na czym wywieźć swej starej i chorej matki. Aby ją ratować wyniósł matkę na nosidłach, posadziwszy ją jakby na szali na jednym końcu dragi, na drugiej umieściwszy kamienie – dla równowagi.

We wszystkich porzuconych domach gospodarowali żołnierze sojusznicznych narodów. Niestety, nie było ani jednego oddziału, którego żołnierze nie grzebaliby w tych stosach wszelkiego mienia i śmiecia. Żołnierze zwykle brali kołdry, zegary, pudełka, lampy, różne bibeloty i dla zabawy – fonografy. Nie umiejąc obchodzić się z tymi rzeczami, psuli je – a potem wyrzucali. W chińskiej dzielnicy nie było żadnego nadzoru, bo też nie było żadnej możliwości ani potrzeby ochrony chińskiego mienia, rozrzuconego na podwórkach i ulicach, opuszczonego przez właścicieli i spisane na straty.

Smutno wyglądała główna ulica – Victoria Road. Ściany domów były porysowane odłamkami. Wszędzie wałały się kupy śmieci i różnorodnych odpadów. Z ogrodu otaczającego szlachetny „Gentlemen’s Club” wypływały prosto na ulicę strumienie nieczystości najokropniejszego rodzaju. W ogrodzie tym biwakował pułk indyjskich sipajów [tj. żołnierzy hinduskich na służbie w wojskach brytyjskich – red.], którzy rozpalili tu swe ogniska, gotowali jedzenie, prali bieliznę, grali na swoich dudach i bębenkach, i nacierali się takim wonnym olejkiem, którego nie znosiły nawet chińskie muchy i komary. A całą ulicę zdołali napęlić tak cuchnącym smrodem, że mogłaby tego pozazdrościć najbrudniejsza chińska dzielnica Tianjinu.

Niektóre sklepy europejskie uszkodzone pociskami artylerii były zabite deskami, ale w innych właściciele nie próżnowali i dziarsko handlowali. Natrętni handlarze, osiedliwszy się w piwnicach, korzystali z okazji i sprzedawali sojusznicznym żołnierzom konserwy, tytoń i piwo. Wskutek wyjątkowej sytuacji ceny były również wyjątkowe.

Hotel „Astor-House” pogrążony był w smutku. Większa część jego mieszkańców zajmowała dolną kondygnację. Ze służby zostało tylko 2–3 bojów, tak że dżentelmeni musieli się sami o siebie troszczyć. Odrzucono wszelkie zasady etykiety i bontonu. Dżentelmeni sami przynosili sobie jedzenie do stołu, a gotowała je żona zarządzającego hotelem. Porcje były rozpaczliwie małe wskutek braków zaopatrzenia. Aby gościom urozmaicić potrawy i sprawić im nieco przyjemności za dania uznawano nawet przyprawę i były one podawane osobno. Przeważała kasza owsiana i konserwowe ananasy.

Kilka pokoi w hotelu uszkodziła artyleria. W moim – odłamki rozbiły szkło w oknie, przy którym lubiłem siedzieć i pisać korespondencję. Lite kule armatnie podziurawiły wieżyczkę nad hotelem.

Mało kto chodził po ulicach, bo granaty i szrapnele nadal sypały się z różnych stron. Spotkać można było tylko żołnierzy i oficerów wykonujących jakieś rozkazy. Wszędzie stały warty z karabinami, jako ochrona bram budynków zajętych przez międzynarodowe oddziały. Wszędzie wywieszano swoje flagi. Prawie wszyscy mieszkańcy koncesji wytrzymawszy tygodniowe oblężenie – wyjechali. Pozostali tylko najodważniejsi i zajęci interesami (s. 243–246).

We wschodnim arsenale

... Na trzy wiorsty naokoło [arsenału] wszędzie było bezludnie i pustynnie. Ani białolicy, ani żółtolicy nie wazyli się chodzić po tym martwym polu między przeciwnikami. Nawet ptaki tu nie fruwały ani zwierzę nie biegał.

Snułem się po arsenale i zdumiewałem jego bogactwami. Były tu wszelkie możliwe warsztaty, fabryki, składy, laboratoria. Jeszcze niedawno obracały się i poruszały różne maszyny produkujące broń i amunicję, a także bijące chińską monetę, miedzianą i srebrną. Były oddziały produkujące proch, ładunki karabinowe dla mauzera i manlicera, i uniwersalne naboje dla broni ostatniego systemu z 1899 r. W składach były niezliczone ilości pocisków artyleryjskich różnego rodzaju – zwykle granaty segmentowe dla burzenia budynków, granaty fugasowe dla podpalania budynków, szrapnele i kartacze.

Nad wszystkimi oddziałami produkcyjnymi wisiały chińskie napisy, niektóre bardzo interesujące. Tak np., „skład podziemnego gromu” oznaczał „skład min”, a „skład wodnego węża” oznaczał „skład materiałów przeciwpożarowych”.

We wszystkich warsztatach były ślady niedawnej intensywnej pracy. Wszędzie porozrzucana była odzież i jedzenie. Najwyraźniej wszyscy robotnicy zostali zaskoczeni. Maszyny i przyrządy były przygotowane do pracy i zatrzymane w ostatniej minucie. Koło ognisk kuźni, palenisk oraz maszyn pobożni chińscy robotnicy ustawili wyobrażenia bóstw opiekujących się pracą i zapalili koło nich trociczki. Na maszynach i kotłach były naklejone czerwone noworoczne napisy z życzeniami szczęścia – albo jeden znak „fu” czyli szczęście, lub maksymy w rodzaju „uruchomienie maszyny to wielkie szczęście”, „otwarcie kotła – wielka pomyślność”.

W zachodniej części arsenału, na otwartym polu, zbudowano podziemne prochow-
nie. Dreszcz przejmował, gdy przechodziło się koło tych niebezpiecznych miejsc i czuło
się, że w przypadku udanego chińskiego wystrzału można było wlecieć do chmur razem
z prochownią.

Wszystkie części arsenału miały między sobą połączenie telefoniczne, telegraficzne
i torami kolejowymi (253–254).

W pochodzie na Pekin

[...] Szedłem opustoszałymi polami, na których przez ostatnie dwa miesiące były
się międzynarodowe oddziały żółtego, czerwonego i białego plemienia. Walczyli tu
Chińczycy i Japończycy, Mandżurowie, Dżungarowie i Mongołowie, Buriaci, Tatarzy, an-
gielscy Hindusi, Bengalczyki, Pendżabczyki, Sikhowie, Gurkowie, Radżpuci, francuscy
Annamici, Malajowie, Amerykanie, Żydzi, Anglicy, Niemcy, Austriacy, Włosi, Francuzi,
austriaccy Czesi, Słowacy, Polacy i Rosjanie.

Na najbardziej pokojowych oraczy ziemi i handlarzy, którzy przez dwieście lat nie
napadali na nikogo i nienawidzili wojny, ruszyło pospolite ruszenie plemion Azji, Europy
i Ameryki. Na żółtych Chińczyków ruszyły wojska braci z plemienia i wiary – żółtolicznych
Japończyków. Przybyli posłani przez Anglików Indusi, oddzieleni od Chińczyków bez-
kresnymi górami i dolinami, żyjący od dawna z nimi w pokoju.

Przemieszały się nie tylko plemiona, ale i religie. W obu wojujących obozach byli
konfucjaniści, buddyści, mahometanie i szamaniści. Wraz z chrześcijanami szli bramini
i bałwochwalcy. Po stronie Europejczyków stali i Chińczycy chrześcijanie, i cały chiński
pułk przywieziony przez Anglików z Weihaiwei. Z drugiej strony Chińczycy mieli broń
europejską i wojowali według prawideł europejskiej sztuki wojennej, której nauczyli ich
instruktorzy europejscy.

Była to taka – za sprawą złego losu – plątanina ludzi i idei, że trudno było nawet zro-
zumieć sens i cel tej wojny. I Chińczycy, i sojusznicy walczyli przeciwko sobie o ten sam
cel, i tymi samymi środkami – „dla dobra Chin”. Pierwsi bronili honoru i wolności Chin.
Drudzy szli ustanowić w nich porządek i uwolnić przedstawicieli dyplomatycznych. Ale
czy od tego było Chinom lżej?

Po raz pierwszy w historii ludzkości na brzegach Oceanu Spokojnego zeszy się
dla krwawego sporu różne plemiona Azji, Europy i Ameryki. Jeśli wojna dzieli i skłóca
narody to ona także łączy, wiąże a nawet zbliża wojujące z sobą plemiona. Duchowa siła
i wielkość każdego narodu i pojedynczego człowieka pełniej i głębiej daje się poznać
podczas prób. Te wielobarwne, różnojęzyczne, różnej wiary oddziały, zebrane na polach
Peczili [dziś prow. Hebei – tłum.], miały – pod ogniem i w czasie pokoju – wiele oka-
zji przyglądać się sobie i przywykać do siebie, zauważyć kto w czym jest silny i słaby,
i potem w domu, w ojczyźnie opowiedzieć to wszystko, co widziały i słyszały.

[...]

W 1860 r. Chiny starły się z dwoma mocarstwami – Anglią i Francją. Po 35 latach wojowały z Japonią. Po 40 latach przyszło im przystąpić do walki z ośmioma mocarstwami.

Czy kłótnia chińska roku 1900 to zapowiedź nadciągającej wielkiej walki, która wybuchnie w niedalekiej przyszłości na równinie chińskiej między różnymi narodami Europy, Azji i Ameryki o podział brzegów Oceanu Spokojnego (358–360)?

Beican

[...]

Główną zasługę w zdobyciu Beicanu [tj. Północnego Arsenалу na 12 km linii kolejowej Tianjin–Pekin – tłum.] mają Japończycy. Choć wspólny atak sojuszników według uzgodnienia dowódców miał rozpocząć się o świcie, to Japończycy zaczęli szturmować Beican jeszcze w nocy i to oni przyjęli i wytrzymali pierwszy ogień i cały ciężar boju. Japończycy z taką determinacją i odwagą brali kolejne chińskie okopy, że wtargnęli w sam środek obozu i wdali się w krwawą walkę wręcz. Chińczycy zwarli się ze swymi wrogami tej samej krwi, stawili bohaterski opór i niełatwo oddali obóz.

Cena, jaką zapłacili Japończycy, była wysoka. Podczas gdy inni sojusznicy nie ponieśli żadnych strat, to spośród Japończyków poległ jeden oficer i 41 żołnierzy, rany odniosło 12 oficerów i 234 żołnierzy, a 8 ludzi zaginęło.

Później też Japończycy nie oszczędzali swych żołnierzy i pierwsi rwali się do boju, nie oglądając się na sojuszników, nie chcąc działać według nakreślonego planu i nie bojąc się ponoszonych strat. Trudno objaśnić takie postępowanie. Czy Japończycy szukali sławy wojennej, pragnąc we współzawodnictwie międzynarodowym dowieść swej dzielności, siły i prawa do rangi wielkiego mocarstwa? Czy chcieli zagarnąć wszelkie zaszczyty ze zniszczenia armii chińskiej i wyzwolenia Pekinu i na tej podstawie wynegocjować dla siebie określone korzyści przy zawarciu pokoju? A może po prostu chcieli zdobyć bogate, pełne srebra, chińskie obozy jako pierwsi, zanim zdąży uczynić to sojusznicy? Na te pytania mogą odpowiedzieć tylko znawcy Japonii.

[...]

Przez całą kampanię Pecylijską 1900 r., od oblężenia Tianjinu do szturmowania Pekinu, głównymi siłami, które ponosiły cały ciężar międzynarodowej ekspedycji, do których należały podjęcie i ustalenie kierunku działań wojennych, i od wartości bojowej których zależał wynik wyprawy – byli Rosjanie i Japończycy. Ale sposób prowadzenia natarcia i walki bardzo się u obu sojuszników różnił, jakkolwiek i Rosjanie i Japończycy upatrywali w wojnie swą przyrodzoną sztukę narodową. Sądząc z ekspedycji Pecylijskiej, spośród współczesnych narodów za najbardziej wojowniczych, znających i kochających wojnę należy uznać Rosjan, Niemców i Japończyków.

Oficerowie francuscy sami mówili, że ich wojska kolonialne należą, pod względem składu i siły, do ich najsłabszych wojsk, i dlatego nie mogły się wykazać szczególną

jakością bojową. Ich artyleria, jednak, była najlepsza. Niemcy, których wszystkiego były tylko dwie kompanie, i po ulicach Tianjinu, i na polu bitwy chodzili jak na paradzie. Rosyjscy oficerowie jednogłośnie oceniali ich jako wspaniałych towarzyszy w boju, wytrwałych i nieustraszonych. Kochający wolność Amerykanie, chociaż niewątpliwie byli dzielni, to nie uznawali ani dyscypliny, ani strategii, ani taktyki i szli do szturmowania Tianjinu tak beztrwako, jak gdyby ruszali na polowanie na Chińczyków a nie poważny bój. Także i w tej bitwie żołnierze zza Atlantyku pokazali, że mogą bić się dobrze tylko wtedy, gdy będzie to dla nich korzystne i łatwe. Anglicy bardzo pięknie nosili wojskowe mundury, chępli się swymi sukcesami i występowali z poważnymi i odważnymi minami, lecz na sprawy wojskowe patrzyli jak na sport, który pośród wszystkich rodzajów był im wyraźnie mało znany i interesujący. Angielscy strzelcy i artylerzyści mężnie się trzymali pod ogniem, ale tych nieszczęsnych oddziałów chudych i cienkonogich, cherlawych sipajów, nie umiejących i bojących się strzelać, których Anglicy przywieźli z Indii, oczywiście nie można zaliczać do wojsk.

Gdy przy szturmie Beican japoński generał Fukushima prosił Anglików, by przysłali ułanów bengalskich dla wsparcia japońskiej kawalerii, to ułani ci wcale nie zjawili się z pomocą – o czym zaświadcza także angielski korespondent Landor. Potwierdza też, że w natarciu na Beican Amerykanie w absolutnie niezrozumiały sposób pomylili drogę i nie mogli znaleźć Arsenалу. Dlatego nie wzięli żadnego udziału w bitwie i zjawili się w Beicanie, gdy już było po wszystkim.

Za to Japończycy rwali się do boju jak tygrysy. Swoje ataki woleli robić w głębokiej nocy, lubili szybkość i napór, wchodzili w najgęstszy ogień przebojem, by wtargnąć w sam środek pozycji nieprzyjacielskich, gdzie urządzali krwawą rzeź. Działali bardzo odważnie i gwałtownie, ale nie dostawało im rozwagi, spokoju i przemyślenia, które cechują Rosjan. Szli przed siebie całym oddziałem, na wprost, bez ruchów oskrzydających i pozorujących, nie osłabiając przeciwnika uprzednio ogniem artyleryjskim i nie czekając na wynik walki spokojnie – jak to zawsze robili bardziej opanowani Rosjanie. Toteż Japończycy zawsze mieli maksymalne straty, podczas gdy Rosjanie osiągnęli takie same wyniki przy minimalnej liczbie rannych i zabitych.

Działania bojowe według wszelkich prawideł sztuki wojennej, nabywanej przez wieki, prowadzili tylko Rosjanie, godni potomkowie wielkiego nauczyciela wszystkich armii – Suworowa, który głosił nie tylko szybkość i napór, ale także lekceważoną przez Japończyków rozwagę (364–367).

W oswobodzonej stolicy

[...]

Gdy 1 października 1860 roku [mowa o okresie tzw. wojen opiumowych – red.] wojska anglo-francuskie stanęły u murów Pekinu, gotując się do szturmowania, Chińczycy postanowili otworzyć bramy i uratowali stolicę przed bombardowaniem artyleryjskim.

W 1900 r., nie bacząc na stulecia przyjaźni Rosji i Chin, pociski rosyjskie burzyły bramy Północnej Stolicy. Miejmy nadzieje, że te pociski były ostatnimi.

[...]

Tak jak przed 40 laty i teraz cesarzowa z dworem i wysokimi urzędnikami pospiesznie opuściła nocą Pekin. W panice uciekła też ludność.

[...]

„Jeśli władca zostanie poniżony – urzędnicy umierają”. Tak głosi stara chińska maksyma.

[...]

Jeśli nieszczęścia osiągną państwo, to winni są temu wszyscy ci urzędnicy, którzy swoimi durnymi rządami nie potrafili zapobiec narodowym klęskom, a może i sami do nich doprowadzili. Tacy nie są godni żyć i nawet nie powinni pragnąć żyć. Dlatego w noc szturm na Pekin wielu wyższych urzędników i wojskowych zażyło opium lub połknęło kawałki złota i zmarło w męczarniach.

[...]

W 1812 r. Rosjanie opuścili i spalili Moskwę, ale nie poszli do Napoleona z pochyloną głową. W 1900 r. Chińczycy zrobili to samo – oddali Pekin, by rozgrabili go cudzoziemcy: złożyli stolicę w ofierze, ale uratowali swą dumę narodową.

[...]

Dnia 2 sierpnia Amerykanie rozpoczęli bombardowanie pałaców Miasta Cesarskiego, ale wskutek protestu gen. Liniewicza i posłów wkrótce ostrzał wstrzymali.

[...]

Dnia 3 sierpnia o 5. rano dowódca oddziału francuskiego gen. Frey z jednym francuskim batalionem i baterią górską wyruszył na odsiecz oblężonemu katolickiemu klasztorowi Beitang, gdzie schroniło się, poza personelem ambasad, ok. 2700 Chińczyków-katolików, a także misjonarze z biskupem Favier. Gen. Frey poprosił gen. Liniewicza o żołnierzy rosyjskich dla wzmocnienia oddziału. Prośba francuskiego generała została natychmiast spełniona..

[...]

Pozostali w Pekinie nieustraszeni żołnierze mandżurscy rozpaczliwie bronili się, by nie dopuścić cudzoziemskiego wojska do Beitangu. [...] Na ulicach prowadzących do klasztoru katolickiego, na podwórzach i na dachach, toczyła się krwawa strzelanina między cudzoziemcami i Mandżurami, walczącymi z uporem i nie chcącymi ani poddać się, ani uciekać. Dziesiątki z nich poległy. Domy i sklepy wokół Beitangu spalili Francuzi... Na ulicach widać było tylko zwąły trupów chińskich – od kul i bagnatów. Zabijano nie tylko żołnierzy chińskich, ale i tych wszystkich, których Chińczycy chrześcijanie wskazywali jako winnych ich prześladowaniom. Poległo 10 francuskich żołnierzy a 15 zostało rannych. Spośród Rosjan tylko 3 zostało lekko rannych. Ta ekspedycja francusko-rosyjska uwolniła z dwumiesięcznego oblężenia chrześcijan i biskupa Favier, znakomitego badacza Chin. Działania wojenne w Pekinie dobiegły końca (438–442).

W rosyjskiej misji

[...]

... personel misji rosyjskiej, oblężonej w Pekinie, liczył – z rodzinami i innymi osobami – 46 osób. Ochraniało ją 79 kozaków i marynarzy z desantu pod dowództwem porucznika barona Radena i kapitana Wróblewskiego [przysłanych w maju – tłum.]

[...] Ogółem w Pekinie uwolniono 1009 Europejczyków, w tym 437 żołnierzy desantu międzynarodowego i 24 oficerów oraz 414 Europejczyków, którzy schronili się w poselstwie brytyjskim. [...] W pozostałych poselstwach było 25 urzędników i ponad 100 misjonarzy. [...] Ogółem uratowano około 4000 ochrzczonych Chińczyków.

[...]

Wszystkie oddziały międzynarodowe z honorem wytrzymały 75-dniowe oblężenie, ponosząc następujące straty: średnio 1 zabity i 2 rannych dziennie, a łącznie tracąc 244 spośród 437 ludzi, to jest ponad połowę wszystkich obrońców poselstw.

W misji zakwaterowani byli: gen. Liniewicz, ranny gen. Wasilewski oraz oficerowie Gorski i Piunowski.

Tu spotkały nas niespodzianki. Dowiedzieliśmy się, że pierwszymi wyzwolicielami poselstw byli Anglicy, bo pierwsi się w nich pojawili [Rosjanie i Japończycy wdarli się do Pekinu kilka godzin wcześniej – tłum.]. Na wszystkie nasze argumenty dyplomaci odpowiadali uśmiechami powątpiewania.

[...]

Bardzo interesujący był pierwszy obiad u sekretarzy wyzwolonej misji. Stół był nakryty czystym obrusem i zastawiony srebrem i piękną porcelanową zastawą. Chleba nie było – bo i tak od dawna go brakowało. W kryształowych karafkach iskrzyła się czysta woda, bo wino już dawno wypito. Na pierwsze podano ryż z czymś-tam, chyba koniną. Na drugie – coś z ryżem, a na deser – znowu ryż, tym razem bez niczego.

Ale przecież utalentowani działacze Dalekiego Wschodu nie mogli przypuszczać, że jacyś „wyzwoliciele”, niemcy i nieogoleni, w brudnych, znoszonych kurtkach i wielkich rosyjskich buciorach pojawią się w arystokratycznym towarzystwie ludzi eleganckich, zarządzających polityką.

Oficerowie-wyzwoliciele ze swej strony nie byli zadowoleni tym dziwnie chłodnym przyjęciem w misji rosyjskiej i mówili, że czują się właśnie jak w obcym poselstwie, gdzie znaleźli się omyłkowo. Pewien szczery oficer przyznał się, że „Gdyby nie te miłe damy w poselstwie, to naprawdę nie warto było przelewać krew i wyzwalać Pekin!” (446–451).

Wyprawy w głąb Mandżurii

[...]

W toku wydarzeń 1900 roku Rosja niezwłocznie zmobilizowała 98000 żołnierzy, tj. dziesięciokrotnie więcej niż wszystkie siły zmobilizowane przez pozostałych sojuszników do natarcia na Pekin. Rosja straciła 2002 żołnierzy zabitych, rannych i zaginionych.

[...]

Niechże kości tych Rosjan spoczywają wiecznym snem w najodleglejszych i głuchych zakątkach mandżurskich i na zawsze będą przypomnieniem, komu należy się pierwsze prawo i przyszłość w Mandżurii. (608).

Przekład: Bogusław i Olga Zakrzewscy

